

Przeszłość, która dzieli

W debacie historycznej akcja „Wisła” bywa usprawiedliwiana rzezią wołyńską. Tymczasem te dwa wydarzenia powinno się rozdzielać, bo przecież do każdego z nich doszło w zupełnie innych warunkach – przekonuje **Piotr Tyma**, prezes Związku Ukraińców w Polsce, w rozmowie z **Magdaleną Semczyszyn**

W kwietniowym numerze „Pamięci.pl” opublikowaliśmy tekst prof. Jana Pisulińskiego o akcji „Wisła”. Czym dla Ukraińców mieszkających w Polsce jest tamto wydarzenie?

Z jednej strony wydawać by się mogło, że akcja „Wisła” jest wydarzeniem historycznym i dotyczy jednego pokolenia – osób, które tego doświadczyły. Ale jej skutki są odczuwalne do dziś i dotyczą potomków wysiedlonych. Wysiłki na rzecz zachowania tożsamości ukraińskiej są naznaczone wydarzeniami z roku 1947: przemieszczeniem, oderwaniem od tradycyjnych miejsc zamieszkania i rozproszeniem, presją językową, uprzedzeniami. Oderwanie od małej ojczyzny powoduje, że wszelkie przedsięwzięcia na polu kulturalnym czy oświatowym dotyczące mniejszości ukraińskiej wymagają ogromnego zaangażowania samych zainteresowanych i środków. Cały czas, gdy analizujemy kondycję społeczności ukraińskiej w Polsce, robimy to w cieniu akcji „Wisła”.



Piotr Tyma – absolwent historii na Uniwersytecie Gdańskim. Od 2006 roku prezes Związku Ukraińców w Polsce; członek Komisji Wspólnej Rządu i Mniejszości Narodowych, Komisji Praw Człowieka Światowego Kongresu Ukraińców, Prezydium Ukraińskiej Ogólnoswiatowej Koordynacyjnej Rady (UWKR), Komitetu Obywatelskiego Solidarności z Ukrainą oraz kolegium redakcyjnego tygodnika „Nasze Słowo” i rocznika „Almanach Ukraiński”.

► Plan działań jednostek Wojska Polskiego i Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego sporządzony w Sztabie Grupy Operacyjnej „Wisła”



Nadal pojawiają się opinie, że była ona jedynym sposobem na poradzenie sobie z problemem ukraińskiej partyzantki operującej na terenach południowo-wschodniej Polski.

Akcja „Wisła” wywołuje wiele historycznych emocji. Niektórzy uzasadniają decyzję o jej przeprowadzeniu tym, co się działo w latach 1943–1944 na innych obszarach: na Wołyniu i w Galicji Wschodniej. Zapomina się, że w 1947 roku podziemie ukraińskie na terenie objętym przesiedleniami było słabe i problem tzw. ukraińskiej irredenty można było rozwiązać w inny sposób. Próbuje się także odrywać akcję „Wisła” od ówczesnego kontekstu politycznego. Co ciekawe, czynią to zarówno spadkobiercy tradycji PRL, czyli ludzie, którzy partycypowali w tamtym systemie władzy lub sympatyzowali z nim, jak i środowiska kresowe czy prawicowe, które oceniają decyzję komunistycznych władz o deportacji jako swoistą realizację polskiej racji stanu. W przypadku kombatantów czy osób dotkniętych działaniami Ukraińskiej Powstańczej Armii dochodzi przy tym do prób przeniesienia swoich bolesnych doświadczeń z Wołynia na tereny objęte akcją „Wisła”.

A może wynika to z obawy przed zrównywaniem rzezi wołyńsko-galicyjskiej z deportacją ludności w ramach akcji „Wisła”. W debacie historycznej jedno wydarzenie nie powinno być argumentem przeciwko drugiemu.

Także jestem za tym, aby te sprawy rozdzielać. Choć są pomiędzy nimi elementy wiążące, to mówimy jednak o dwóch różnych wydarzeniach historycznych, innych terytoriach, innym przedziale czasowym, innych realiach lokalnych. Zwracam jednak uwagę na to, że akcja „Wisła” często jest usprawiedliwiana tym, co działo się na Wołyniu.

Są historycy, którzy potrafią oddzielić oba te wydarzenia. Z jednej strony określają to, co się działo na Wołyniu, jako ludobójstwo czy ludobójczą czystkę etniczną, ale jednocześnie jasno wskazują, że zastosowanie podczas akcji „Wisła” zasady odpowiedzialności zbiorowej kwalifikuje ją jako zbrodnię komunistyczną w rozumieniu ustawy o Instytucie Pamięci Narodowej.

Są też tacy, którzy pozytywnie oceniają decyzję o akcji „Wisła” i jednocześnie umniejszają to wydarzenie. Tymczasem dwa lata po zakończeniu wojny doszło do zastosowania odpowiedzialności zbiorowej – w sposób zorganizowany represjonowano całą populację – nie tylko osoby faktycznie współpracujące z UPA, podejrzane czy wrogie, lecz także tych, którzy nie mieli żadnych związków z partyzantką czy wręcz wspierali ówczesny system. Przesiedlano rodziny mieszane i tych, którzy bronili Polski we wrześniu 1939 roku, wyzwolali kraj w latach 1944–1945. Wiele z tych osób nie miało zdefiniowanej świadomości narodowej. W Bieszczadach

istniały wsie, gdzie miejscowi określali siebie jako Rusinów. Władze potraktowały mieszkańców tych terenów jako konkretną zbiorowość, której nie pozostawiono tożsamościowego wyboru. Zniszczono przy tym bezpowrotnie bogactwo kulturowe pogranicza, w tym różnych grup etnicznych, np. Bojków czy Łemków. Traumą wypędzenia naznaczone zostały następne pokolenia.

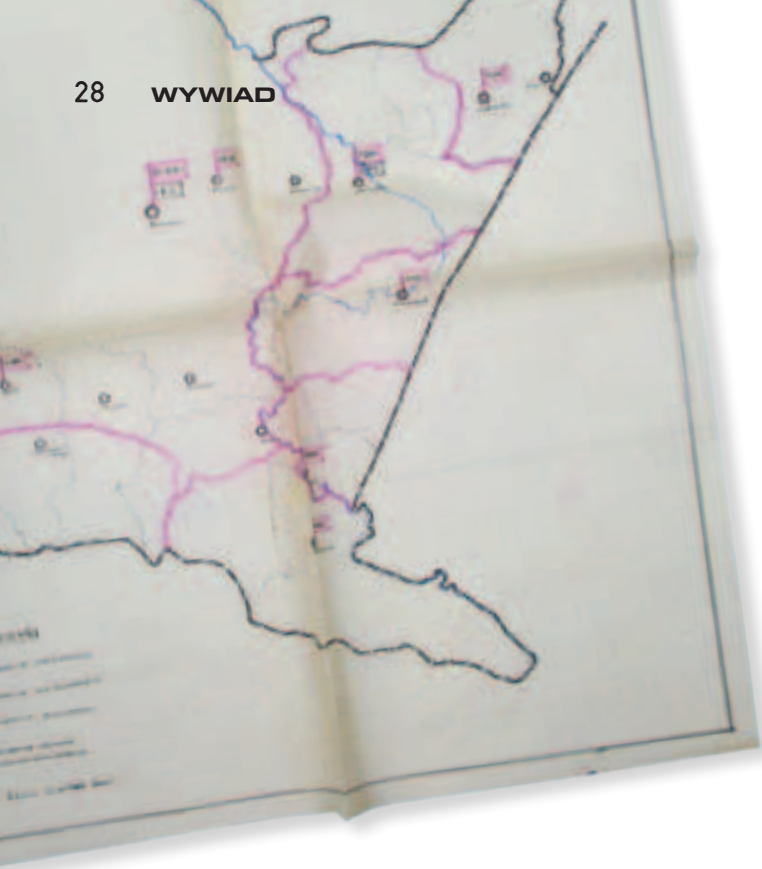
Na temat akcji „Wisła” pokutuje jeszcze jeden pogląd. Jej obrońcy posługują się argumentem, że w wyniku przesiedleń uboga ludność otrzymała szansę „awansu cywilizacyjnego” na lepszych, poniemieckich gospodarstwach.

Spokojny bilans zysków i strat z perspektywy przesiedlonych na to nie wskazuje. Gospodarstwa, które im przydzielono, były często zdewastowane lub rozgrabione. Ludzi pozbawiono fundamentu ich egzystencji: wielopokoleniowego zakorzenienia na innym geograficznie terenie. Przerwano lokalne więzi, zniszczono świat, w którym poza tradycyjnymi zajęciami rolniczymi były także wyznaczniki tożsamości: język, kultura i Cerkiew. Przez pierwsze lata władza prowadziła wobec przesiedlonych działania represyjne i asymilacyjne. W dodatku byli oni na ogół wrogo odbierani przez nowych, polskich sąsiadów. Propaganda PRL zadbała, aby utrwalić w społeczeństwie obraz złych Ukraińców, rezunów. Obraz ten rozciągnięto na całą społeczność i w części środowisk funkcjonuje do dnia dzisiejszego.

Niewiele mówi się o psychologicznych skutkach operacji. Choć to się powoli zmienia, to jednak do dziś funkcjonują negatywne stereotypy na temat Ukraińców.

Akcja „Wisła”, a także – szerzej – polityka władz wobec ludności ukraińskiej prowadzona zaraz po deportacji oznaczały wieloletnią stygmatyzację tej społeczności. Przesiedleńcy zostali w całości obarczeni odpowiedzialnością za działania UPA. Przypisano im niskie instynkty, dyskredytowano w różnorodny sposób, ponizano i pogardzano. Dotknęło to także następne pokolenia. W rezultacie nadal w społeczności ukraińskiej istnieje strach przed ujawnianiem swojej tożsamości, np. przy okazji kolejnych spisów ludności. Niestety, brakuje całościowego opracowania, które pokazałoby kształtowanie się negatywnego obrazu Ukraińca w propagandzie czy retoryce władz po wojnie i wskazało jego źródła, sięgające czasów wcześniejszych. Brak jest też badań na temat skutków presji ze strony państwa i społeczeństwa i jej wpływu na ilościowy i jakościowy stan populacji ukraińskiej w Polsce.

Na kanon ukraińskiej pamięci składają się także inne wydarzenia z przeszłości, określane mianem polskiego odwetu. W marcu obchodziliśmy 70. rocznicę mordu dokonanego na mniej więcej trzystu ukraińskich mieszkańcach wsi Sahryń przez Armię Krajową ▶



i Bataliony Chłopskie. Podobne działania wobec ludności cywilnej miały miejsce w 1945 roku, m.in. w Pawłokomie.

Temat ukraińskich ofiar cywilnych jest nadal mało znany. Mam wrażenie, że w dyskusjach wokół tych wydarzeń na pierwszy plan wysuwa się szukanie usprawiedliwień, które przesłonią fakt, że ofiarami byli cywile – w tym kobiety i dzieci. Najczęściej mówi się, że miejscowości objęte pacyfikacjami były bazami UPA lub że polscy partyzanci obchodzili się ze swoimi ofiarami w sposób „humanitarny”. Innym sposobem niewnikania w kwestie odpowiedzialności za morderstwa na ukraińskich cywilach jest bezkrytyczne stosowanie kategorii „akcja odwetowa”. W tym odwiecznym sporze po jednej stronie są więc niewinne polskie ofiary, po drugiej – cała gama usprawiedliwień. Jak wiemy z historii innych konfliktów, takie proste symetrie mają mało wspólnego z rzeczywistością

obrazem wydarzeń. Nie ma narodów zbrodniarzy i narodów ofiar, i nie chodzi tu o próby relatywizowania ukraińskiej odpowiedzialności, tylko o elementarną uczciwość.

Ale polscy historycy, którzy zajmują się tym tematem, nie pozostawiają wątpliwości, że odwet, którego ofiarami padali cywile, należy określić mianem zbrodni wojennej.

Nie wszyscy tak uważają. Również w przypadku rocznic w mediach nadal przewija się element ukraińskiego nacjonalizmu, a działania polskie jest zawsze działaniem odwetowym, wyprzedzającym lub w afekcie. Nigdy nie zakłada się przy tym, że wojna demoralizuje wszystkich jej uczestników. Inne ujęcie, takie jakie znajdujemy np. we wspomnieniach Dąbskiego, w książce *Exekutor*, to nadal wyjątek, nie reguła.

Również w tym przypadku pojawia się często obawa przed postawieniem znaku równości pomiędzy działaniami Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów i UPA, a polskim odwetem. Według ustaleń historyków bilans ofiar cywilnych to 100 tys. po stronie polskiej i ok. 10–15 tys. po stronie ukraińskiej.

Ale w tym kontekście to nie jest matematyka. Czy to, że polskich ofiar było więcej, anuluje cierpienia drugiej strony? Sukcesem wieloletniej dyskusji o Wołyniu było to, że doszło do wyklarowania się stanowisk i historycy tacy jak m.in. Grzegorz Motyka czy Mariusz Zajaczkowski doszli do wniosku, że zbrodnię należy nazwać zbrodnią. Natomiast problemem w dotychczasowych sporach było stosowanie różnych kryteriów do różnych sytuacji. Kiedy zabija UPA, to jest to zbrodnia, ale kiedy polskie podziemie – uprawniony odwet. Podczas gdy zabójstwo cywilów należy nazwać po prostu zbrodnią, niezależnie od jej sprawców. 🇵🇱

▶ Żołnierze 2. Brygady KBW w drodze na akcję; Bieszczady, 1947 rok

